

PLOMYK

TYGODNIK DLA DZIECI : MŁODZIEŻY

ROK 20 • TOM 1 ♦ NR. 19

WARSZAWA, 20 STYCZNIA 1936 R.



KURPIANKI

NA KURPIACH

Hej, nie taka nasza ziemia,
jak była przed laty.
Już tych wielkich borów niema,
w zwierzynę bogatych.
Już dziś blisko, nie daleko —
kogo chęć przyniesie?
Droga prosta, most nad rzeką,
nikt nie zbłądzi w lesie.

I choć niebo się rozgwieżdża
w piękny zmrok zimowy —
żaden król tu nie przyjeżdża
z Warszawy na łowy.
A czy króla, czy biedaka
droga przyprowadzi —
tu gościnność jest jednaka:
przyjmiemy go radzi.

Choć zmieniona ziemia nasza,
a przecie ta sama.
Do wsi każdej droga w lasach
otwarta, jak brama.
Tu przed którą staniesz chatą —
każda cię ugości.
I czy biednie, czy bogato,
pełno tu radości.

Czy człek polny, czy człek leśny,
zwawy dziś, jak dawniej.
Nasze tańce, nasze pieśni
na świat cały sławne.
Jak te same ptaki w lasach
i myśmy jednacy.
Niechaj kwitnie ziemia nasza
wśród śpiewu i pracy!

E. Sz.

K U R P I E

Gdybyśmy — 400 lat temu — spojrzeli z lotu ptaka na ziemię, położone na północ od Warszawy, między rzeką Narwią, Omulwią i Skwą, ujrzelibyśmy bagniste, podmokłe grunty, porośnię bujnemi, szumiącemi borami, od dwóch największych miast noszącemi nazwy puszczy Myszynieckiej i Ostrołęckiej.

Myśliwy — a bywał nim w tych odległych czasach król polski i panowie z jego orszaku — walczył tam z silnym i niebezpiecznym zwierzem. Stały mieszkanie puszczy, Kurp, nazwę biorący od wyplatanych z łyka drzewnego chodaków, co dnia pędził za niedźwiedziem, pokładał brodate żubry i rączę jelenie, stawiał więcierze na rzekach, a zwierz dziki, ptak lotny i ryby równą niosły mu korzyść. „Strzela jak Kurp” — mówiło przysłowie i nie było to nic dziwnego, bo się od dziecka przyzwyczajał do

strzelania. Na wysokiem drzewie kładł ojciec kawał chleba dla syna przeznaczony, i ten dotąd pokarmu nie dostał, póki celnym strzałem chleba z wierzchołka drzewa nie strącił. Pewien Kurp na dworze królewskim S. A. R. (Stanisław August Rex) w pół godziny kulami na tarczy wypisał. •

Nie tylko zawołanym myśliwym był Kurp, lecz i świetnym bartnikiem. Obierał siedzibę w głębi starego boru, bo tam najwięcej znajdował miodu, składanego w dziuplach spróchniałych sosien przez dzikie pszczoły. Budował chatę w wybranym ostępie, wypalał ogniem kilka morgów gruntu na pole, siał, bartniczył i polował. Inwentarza nie trzymał, zwierzyny dostarczała puszcza. Nie użyźniany nawozem grunt po kilku latach wyjaławiał się i bartnik przenosił się na inne miejsce. Wypalony przez



CHATA KURPIOWSKA

niego skrawek gruntu — rana na ciele puszczy — goiła się, pokrywała drzewami, zrastała z lasem. Rozmnażająca się ciągle rodzina utrudniać zaczęła przenoszenie się z miejsca na miejsce. Bartnicy zaczęli karczować lasy, osiedlać się nastale, stawać się ludem rolniczym.

W drugiej połowie 18 wieku już nie, bartnictwo i łów, lecz rolnictwo jest głównem zajęciem Kurpiów. Dawna gęsta, trudna do przebycia puszcza — przerzedzona, świeci wykarczowanymi łysinami pól, staje się niemal przejrzysta, zwierzyna w niej wytępiona. Z resztek lasów powycinano leśnictwa, wzbroniono polowań, odgradzono Kurpiów od puszczy.

Ale dawny gospodarz lasów, choć sędzi kartofle, sieje zboże i chowa bydło, we krwi nosi wszczepioną przez tyle lat bytowania w puszczy tęsknotę do dawnego życia. Dziś Kurpie podlegają prawom ogólnym, ale za czasów bartnictwa i łowów rządili sobą sami przez własnych starostów i sędziów. Żyli, jak wolni obywatele. Za prawo polowania dawali skarbowi 15 groszy rocznej opłaty, lub futro kuny, za podbieranie mio-

du — umówioną miarę pachnącego borem płynu. Nie znali pańszczyzny ani



PRZED KOŚCIOŁEM





RYBACY

poddaństwa. Nigdy nie hańbił ich chłosta i tyranją dziedzic, bo folwarków szlacheckich w puszczy nie było.

Tylko na skrajach borów nieliczni Kurpie poznali — na krótko — pań

szczyznę, bo już w 1752 roku zostali od niej zwolnieni. Ze swej wolnej przeszłości czerpie Kurpie godność, odwagę i miłość do kraju, w obronie którego wielokrotnie występował.



ORYŁŁ



KAPLICZKA PRZYDROŻNA

Nazwy niektórych wsi: Ruda - Ostrawicka, Nowa - Ruda, świadczą, że kiedyś Kurpie rudę wydobywali. Jakiś czas skarb państwa ciągnął okazałe zyski — 400 tysięcy dukatów rocznie — z kurpiowskiej kopalni bursztynu. W 1840 r. nieliczne już barcie leśne wycięto i ostatecznie zakazano łowów; co młodszy i energiczniejszy Kurpie wzięli się za „orylkę”, za spalwanie wodą drzewa do Prus. W walce z żywiołem wodnym znajdują ludzie śmierć, a wtedy „płaczą dzieci, płacze żona, bo oryla niema domu”...

Mimo niebezpieczeństw, a może właśnie dla nich, „orylka” pociąga młodych: niecierpliwie czekają wiosny, żeby ruszyć na rzekę i żyć pełnym przygód życiem. Większą część roku oderwani od rodzin, poddają się wpływom marynarzy, wpadają w pijaństwo: zawlekli je do trzeźwej wsi kurpiowskiej.

Usilna działalność księży doprowadziła w 1858 roku do „wyrzeczyśka”:

wszyscy Kurpiowie uroczyście wyrzekli się wódki i słowa dotrzymują: pijak jest wielką rzadkością i pośmiewiskiem.

Moralność stoi wysoko: kradzieże są prawie nieznane. Gospodarz zostawia na noc na polu wóz z zaprzęgiem, wiedząc, że nikt go nie ruszy. Na jarmarkach nie pilnuje się sprawunków na wozach, konie po kilka godzin spokojnie czekają na rynku na właściciela.



KURPIANKA

Rolnictwo niewielkie daje korzyści, bo ziemia jest licha. Najpopłatniejsze zajęcie, to wychów trzody chlewnej dla pobliskich Prus. Las daje, co jeszcze może: drzewo na wyrób naczyń, lasek, wozów. Zdobnictwo niektórych przedmiotów stoi bardzo wysoko. Sprytne Kurpianki suszą borowiki nie na sznurkach nizane, lecz white, każdy oddzielnie na kolce krzaka tarniny. Myszynieckie grzyby poszukiwane są w Warszawie.

A. Maryńska



JAK TO BYWAŁO...

Na rozległym obszarze rozsiadła się kurpiowska puszcza. Nie odstępowała od Narwi, tuli malowniczą i zdradliwą Piskę, nieśmiałą, skrytą w gęszczach Szkwę, zabagnioną Rozogę, ponury Orzyc i wesołą Omulew. A we wnętrzu jej rozpościera się bezdenne jezioro Krusko, groźne wilkołakami, pełne topielisk. Przeglądają się w niem odwieczne drzewa — sosny masztowe, poszukiwane przez zagranicznych kupców. W kniejach wyrósł zwierz gruby i lud Puszczaaków, bitny i dzielny. Barcie leśne pełne są sytnych miodów. Dostatek grzybów, ryb i zwierzyny wszelakiej żywił ludność Kolna, Myszyńca i Nowogrodu.

Wielokroć rozbrzmiewały ostępy leśne wesołym głosem trąb i rogów myśliwskich. Obfitość zwierzyny zwabiała bogate orszaki łowieckie — królewskich gości i wszelakich wielmożów. A ludek kurpiowski wiódł tych przybyszy radośnie przez zagon myśliwski, brał udział

w polowaniach, tropiąc i naganiając w borze zwierza...

I tak bywało przez wiele wieków...

Lecz nagle miast rogów i trąb myśliwskich zagrały w puszczy fanfary i surmy bojowe. Wojna ze śmiertelną kosą wdarła się do puszczy. Oddział strzelców puszczańskich pod przewodem Stacha Konwy przeciwstawił się szwedzkiemu najeźdźcy w obronie Państwa i Wiary. Na Kopańskim moście legła czereda wrogów i strach ogarnął tych, co mieli wkroczyć do puszczy. Lecz dziwne rzeczy poczęły się dziać na świecie. Owe „czerwone djabły szwedzkie” stały się z kolei obrońcami wybranego przez naród polski króla, Stanisława Leszczyńskiego. I Stach Konwa ze swoimi, wedle rozkazu, walczył razem ze Szwedami przeciw saskiemu uzurpatorowi. Ponoć szwedzki dowódca, Rehinden, ponny dawnej swej klęski, zdradził i wydał kurpiowskich sojuszników Augustowi Saskiemu. W roku 1733 stracony został nieustraszony bohater, Staszek Konwa.

I odtąd przestała rozbrzmiewać puszcza radosnym, myśliwskim gwarem... Przybywali tu po laury myśliwskie obcy, zaborcy polskiej ziemi. A coraz częściej docierały bitewne szczęki broni...

Powstanie Kościuszki. Napoleońskie Legjony. A raz wreszcie błysło znów poprzez mroki stuletnich drzew zbawienia słońce... Ruszyła młodź kurpiowska gromadnie pod Ostrołękę w roku 1831...

Jutrznia swobody zagasła szybko, a skrwawione niedobitki przygarnęła puszcza. Nie poddawano się wątpieniu w kurpiowskich kniejach. Ostrzono kosy w leśnych kuźnicach, młodź ćwiczyła się w robieniu broni, a starzy opowiadali, jak to dawniej w Polsce bywało...

I tak nastał rok 1863. Rozhukwały się puszczyki po lesie, wzywając do broni mieszkańców Zielonej i Myszyńskiej. Zygmunt Padlewski, członek Rządu Narodowego, stanął u skraju puszczy z garsteczką powstańców. „Kraj jęczy w niewoli pod ruskim, niechta chłopcy nasze pokażą, jak umieją się z bronią obcho-



POMNIK STACHA KONWY



WALKA

mal. A. Grottger

dział" — przykazała starszyzna kurpiowska. Nadbieżeli zewsząd chłopcy na schwał, jak na wilki zasadzali się na wroga, zwabiano Moskala w zagajnikowe zasadzki. Kuźnie leśne przemieniły się w warsztaty broni, naprawiono myśliwskie flinty, stawiano kosy na sztorc. Z głębin puszczy ruszały dziesiątki wozów oręża ładowego w sukurs powstańcom. Nadarmo patrole kozackie weszły po osiedlach. Wytrawni kowale mieli na warsztatach przygotowane kosy i sierpy, a broń kryły szybko leśne, miodne barcie... Zwycięstwo pod Myszynem nad przeważającymi siłami wroga, to ostatnia chlubna karta powstania. A wnet przyszedł kres. Padlewskiego wywiedli Moskale z puszczy w otwarte pole, gdzie pragnął się połączyć z poważniejszą partją powstańczą w Płocku. Otoczony, mimo bohaterskiej obrony pojmany w niewolę, został stracony na rynku płockim...

tarzy. Zjechali się oni z Polski całej, na uroczystość poświęcenia pomnika bohatera kurpińskiego, Stacha Konwy.



POJEDNANIE

mal. A. Grottger

w Jednaczowskim lesie. Pomnik ze stu-letniej barci, miejscowym zwyczajem wystawiony, otoczyły tłumy. Popłynął w niebiosą potężny, dziękczynny śpiew: „Święty Boże!”, a w radosnym poszumie szczęścia zawtórowały mu prastare sosny.

Zofja Krzemicka

K U R P I K I

KURP I:

Hej, Kurpiczki, Kurpiczki,
bierzcie żywo strzelbiczki.
Pójdziem sobie wraz
w myszyniecki las,
w bór na zwierza grubego,
bośmy zuchy do tego.



KURP II:

Hej, tam, pod Kadzidłem,
szumi puszcza dzika.
Niema ci to, niema
strzelca nad Kurpika!

KURP III:

Choć na naszych piaskach
pszeniczki nie bywa,
pójdzie Kurpik w lasy,
przyniesie mięsiwa.

KURPIANKA I:

A gdzieś była, Rozyno,
żeś kupiła bursztynów?

KURPIANKA II:

W Ostrołęce, przy farze,
eż tam bursztyniarze.

KURPIANKA I:

Ja, robotna niewiasta,
nie jeździłam do miasta,
inom grzyby zbierała,
dwie koszule utkała

i warzyłam, co żywo,
jałowcowe piwo.

KURP I:

Ej, dobre to, zdrowe,
piwo jałowcowe.
Pijał je mój tata,
przeżył setne lata.

BARTNIK (*wchodzi*):

A witajcie — hop, hop, hop!

KURPIANKA I:

Bartnik Michał — wesół chłop.

BARTNIK:

Kiedy podjem miodku,
wesóło mi w środku!
Mam sto barci po borze,
miś ich dostać nie może,
ej, nie może, choćby rad,
ma sposoby Michał chwyt.

SMOLARZ (*wchodzi*):

Hola, hola, hola,
smolarzowa dola,



w lasach, precz od świata,
smolarzowa chata.
Szumi bór do nieba —
a cóż więcej trzeba?

KURPIANKA II:

Gdzieście byli?



SMOLARZ:

A w mieście.

Nowin niesiem ze dwieście.

(wszyscy otaczają ich)

Wej, wej, chłopcy, jest coś dla was,
a nowina to ciekawa.

BARTNIK:

W puszczy siedząc nie wiecie,
a to wojna jest na świecie.

WSZYSCY:

A z kim?

SMOLARZ:

Ze Szwedem.

Niesie ci nam biedę.

Pali i rabuje,

w puszcę postępuje.

KURPIANKA I:

Jezusiczku kochany!

To ci brzydkie pogany!

Czy to oni nie wiedzą,
co za jedni tu siedzą?

KURP II:

Hejże, bracia Kurpiczki,

chyba chwycim strzelbiczki?

A czyśmy to pokraki?

Czy nie wolne puszczażki?

Jak bór borem, świat światem,

nie był Kurpik pod batem.

SMOLARZ:

Ej, bartniku, rzuć barcie,
to ci mówię otwarcie.



BARTNIK:

Ej, smolarzu — rzuć smołę.

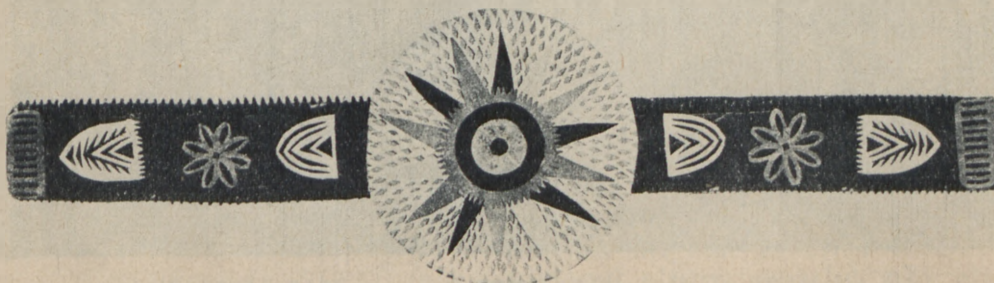
Zabierajmy się razem.

WSZYSCY:

Dalej, bracia, na Szweda!

Kurpik wrogom się nie da!

A. Świrszczyńska



KRAJ BARCI

Lubisz miód? Miód słodki i złocisty, zbierany w czerwonych i niebieskich ulach, które jak żołnierze stoją szeregami w sadach?

Niezawsze jednak państwo pszczoła tak wyglądało.

Dawnemi czasy człowiek podbierał miodek dzikim pszczołom leśnym, gnieźdzącym się najchętniej w dziuplach starych sosen. Dobierał się do miodnego gniazda, ubiegając w tem niedźwiedzie, które były bardzo łase na słodki przysmak. I, jak niedźwiedzie, niszczył cały dziki rój. A miód i wosk były podówczas w wielkiej cenie. Miód był ulubionym przysmakiem i napojem Polaków. A służył także do słodzenia potraw, bo cukru jeszcze wtedy nie znano. Toteż człowiek bardzo wcześnie nauczył się szanować pszczoły. I zamiast niszczyć roje, zaczął sam dłubać sztuczne dziuple, czyli „barcie“, w wysokich, starych drzewach i osadzać tam pszczoły leśne, otaczając je troskliwą opieką.

W dawnej Polsce prawdziwe królestwo pszczoł znajdowało się w puszczy

Zielonej i Białej. Tu, w odwiecznych borach, nieatrzebionych ręką ludzką, mieszkały śmiałe, zręczne Puszczaaki, których sąsiadujący z nimi Mazurzy przezywali Kurpiami, bo w łapciaczka z tyka chodzili. Ci Kurpie najchętniej trudnili się bartnictwem, czyli hodowlą pszczoł w lesie. Miód kurpiowski słynął z dobroci. Nawet na królewskim stole chętnie go widziano.

Królowie polscy specjalną opieką i łaskami otaczali Kurpiów i nadawali im liczne przywileje. W roku 1559 Krzysztof Niszczycki, starosta przasnyski, spisał dla Kurpiów „Prawo Bartne“. Było to jedno z pierwszych praw pisanych w Polsce. Według tego prawa Kurpie zarządzili się sami między sobą. Nad Kurpiami stał „starosta bartny“, najstarszy i najbardziej szanowany w puszczy Kurp. Starosta bartny doglądał, czy gospodarka w puszczy idzie, jak należy, wyznaczał daninę dla króla, no i sądził winnych. A musiał być sprawiedliwym sędzią, bo prawo bartne dbało, aby pokrzywdzonemu stało się zadość.



PASILKA



UL. NA DRZEWIE

uczynienie. Tak np.: kto zniszczył sąsiadowi sosnę bartną, musiał mu ze swego boru — taką samą oddać. Kto sąsiada zranił ciężko, ten musiał kalekę żywić i pracować na niego. Najhaniebniejszą zaś karą było wygnanie Kurpie z puszczy. Tak te swoje bory kochali!

Zwykle na wiosnę rozpoczynała się



NAJWIĘKSZA BARC

praca w borze. Kurp po wydłubaniu, czyli po skończonem „dzianiu” barek, wysmarowywał ją w środku farbą i woskiem. Gdy pszczoły, znęcone miodowym zapachem, zleciały się do barci, bartnik zakładał otwór deseczką z małym wejściem dla pszczół. I czekał cierpliwie do lipca. A kiedy nadechodziła pora miodobrania, wesoło bywało w Puszczy. Zwykle podbieranie miodu rozpoczynało się u starosty bartnego. Zewsząd ściągali do niego ludzie ze śpiewami i muzyką. Dziewczęta wybierały najrzęczniejszego chłopaka, wkładając mu wianek kwiatów na kapelusz. A ten zarzucawszy linkę na wystający sęk sosny bartnej, na jednym jej końcu wiązał pętlę, w którą siadał, a drugim końcem podciągał się dogóry, na wyso-



BARTNIK

kość barci. Albo też obejmował sznurem drzewo i trzymając się za oba końce, jak wiewiórka, wdrapywał się na drzewo. Była to sztuka nielada. Później wciągał na sznurze potrzebne mu narzędzia i zarzucawszy poły sukmany na twarz, zaczynał wybieranie miodu. Whijał długi nóż w drzewo, a potem przykładał do dziury garnek z rozżarzonemi węglami. Pszczoły, przerażone dymem, fruwały na wszystkie strony, a chłopiec podbierał plasty, uważając, żeby nie



MAŁA KURPIANKA

uszkodzić plastra z królową-matką. Musiał zdobyć tyle miodu, żeby wszystkich gości uraczyć. A tymczasem nadole różna kapela wiejska. Dziewczęta w kraśnych sukienkach i aksamitnych, wysokich czółkach, a chłopaki w burych kurtkach, wesóło tańczyli przy ognisku. Starzy, jak to starzy, częstowali się przyniesionem jadłem i napitkiem. I wszyscy śpiewali wesóło.

Oj, dobrze się działo Kurpiom w dawnej Polsce!

Ale te piękne czasy skończyły się koło 1800 roku. Prusacy i Moskale zniszczyli zupełnie tak pięknie kwitnącą gospodarkę bartną.

Dopiero teraz Kurpie zaczynają znów powoli zakładać pasieki, ale już nie w barciach, a w ulach ramowych. Nie raz jeszcze wynoszą taki pięknie malowany ul domkowy do lasu i osadziwszy go na wysokich drążkach wysoko między drzewami, pozostawiają go tam przez całe lato. Mówią bowiem, że pszczoły dwa razy tyle miodu dają w lesie, niż w ogrodzie. I pewnie mają rację!

Janina Przeworska

W E S E L E

Był wieczór sobotni. Ściemniało, gdy do statecznego gospodarza, Walentego Skiby, wszedł dwudziestokilkuletni Jasek Bury:

— Niech będzie pochwalony.

— Na wieki. — Skiba oderwał za czytane oczy od starego kalendarza. — Siądź se.

— Postoję. — Jasek był zaambarasowany. — Widzicie... ojcie chcą mnie żenić. Starzy, wnuki-by chcieli chować. Matce-by się pomoc w gospodarstwie przydała...

— Dziewuchęś sobie upatrzył?

— Skubałankę Marynę. Rajem mi będziecie?

W pół godziny potem odświeżnie ubrany Skiba, raj Jaska, szedł na zmówiny do Skubałów.

— Wydacie córkę za Jaska Burego? — pytał raz, drugi i trzeci.

— Jak ji się udoł — to i dobrze — odpowiedzieli za trzecim razem ojcowie.

— Chodź ino! — przywołał stojącego przed chatą kandydata. — Marynka, powiedz: udoł ci się ten Jasek na męża?

— A juści — odpowiedziała cicho, jak przystało na skromną dziewczuchę.

— Chwała Bogu — to i zgoda! — ucieszył się raj, wyjmując flaszkę miodu. — Pijcie! Weselcie się! Róbcie zrękowiny!

Młodzi sprowadzili chłopców i dziewczęta, tańczyli i śpiewali. Ojcowie ugadzali posag i wyprawę:

— Nasz chłopok — mówił ojciec Jaska — dostanie po nas gospodarkę, chatę, inwentarz. Wszystko...

— Marynce dajemy krowę, przyodziewek, statki na gospodarstwo i 100 złotych...

Zrękowiny skończyły się nad ranem, a w trzy tygodnie później zeszli się do Skubałów zaproszeni goście na rozpleciny. Druchny z pięknie przystrojonych



Młoda siadły za stołem, a drużbowie z Młodym na ławie w końcu izby.

Stojąc na środku, przemawiał raj:

— Cyli pozwolicie, ojce i matko, tej parze, aby się złączyli?

Nikt nie odpowiedział.

— Jesce raz się powtórnie pytam — wskazując młodych: — Oto ta para siedzi: zezwalacie, cyli nie?

Rodzice milczą. Raj zwraca się do gości:

— Wszyscy przyjaciele i sąsiedzi, pokłońcie się ojcu, matce i spytajcie, cyli pozwolą. Wyłaćcie, ty — panie młody, i ty, panno młodo!

Drużbowie, druchny i młodzi kłaniają się i ściskają nogi rodziców. Wreszcie matka mówi:

— Pozwalam wam, moje dziatki. Niech wam Pan Bóg dopomoże i łączy was. A wy, kochani sąsiedzi, co możecie życzyć? Dacież jaką zapomogę tej parze?

Raj: — Ja dam ćwierć pszenicy.

Marcin: — A ja ćwiartkę żyta.

Jan: — Ja ćwierć jęczmienia na piwo.

Gospodynie: — A my złożymy po kawałek sadła, słoniny, kury, gęsi, aby mieli obiad!..

— Dziękujemy pięknie — pokłonili się gościom młodzi.

— Kładźcie, panno młodo i ty, panie młody, wasze pierścionki — wezwa! raj, i młodzi położyli pierścionki na miskę. — Teraz przyjrzyjcie się sobie: młodzi ludzie, bo małżeństwo, to jest sęk twardy i ciężki do rozcięcia... W Imię Ojca i Syna i Ducha Świętego... — pokropił wodą święconą obrączki i obecnym. Kiedy młodzi zamienili pierścionki, stłukł szklankę o stół, wołując:

— Ho, nasa!..

Zagrała muzyka, zatupali, zatańczyli goście. O zmroku wyszli wszyscy mężczyźni, zostały tylko druchny. Posadziły Pannę Młodą na dzieży, obstały, a Swacha, niemłoda, ale swarna gospośia, zaśpiewała:

„Zakukała kukawienka na sęku,
zapłakała Marysienka na pieńku,
oj, kukajże, kukawienko, a głośni,
oj, płacze ty, Marysienko, żałośni...”

I Młoda zapłakała, jak trzeba, rzewnie... Druchny rozplotły jej warkocz, Swachna zaśpiewała:

„Przybывajcie drużbowie,
jesce warkoc na głowie.”
„Co u Boga żywego,
niema druzyb żadnego!”

Wypadają drużby z komory:

„My koniki siodłali,
tom późno przyjechali.”

Druchny śpiewają:

„Jak drużbowie przybyli,
to sto złotych rzucili.”

Drużbowie rzucają pieniądze na ta-
lerz, który Młoda trzyma na kolanach.
Druchny:

„Ucescie mi, drużbowie,
mój warkocyk na głowie...”

Drużbowie przeciągają grzebieniem
po włosach Młodej. Młody wstążką —
koniecznie różową — wiązuje rozple-
cione włosy Młodej. Panna Młoda wsta-
je i tańczą wszyscy do rana. Rano roz-
chodzą się goście, a druchny ubierają
Młodą do ślubu. Siadając na brykę,
Druchny śpiewają:

„Już wyjeżdżam, matuleńko,
z domu twojego,
i wylewam krwawe łezki
z serca mego.
Do nóżek twych upaduję,
za wychowanie dziękuję,
matulu moja...”

Sadzą Młodą na wóz ze Swachą,
druchnami i rodzicami. Na przodzie
muzykant gra całą drogę. Pan Młody

i drużbowie jadą konno i urządzają wy-
ścigi. Ze ślubu wracają ze śpiewem:

„Wesele jedzie!
Kapusta na kłodzie,
mięso na kotku,
pasternak w dołku!”

Raj komo wyprzedza weselników
i wynosi młodym przed chatę chleb
i sól. Powracających czeka suty obiad,
gotowany przez najlepszą we wsi ku-
charkę. Po obiedzie raj mówi:

— Już obiad pojedliśmy. Podzię-
kujmy Panu Bogu i gospodarzom.

Wszyscy:

— Dziękujemy Panu Bogu i tobie,
panie gospodarzu, po obiedzie, po do-
brym.

Śpiewają kolejno:

„Co było obrusów, wszystko Toruniowe,
Co było półmisków, wszystko

buraszyńskie.

Co było ławeczek, wszystko jesionowe.

Łyżki były poerebrzane,

a widelce pozłucane.

Na stole była samiotka zwierzyna,
ale piecyste — sama wołowina.”

Druchny:

„Byli drużbowie — wszyscy z Torunia,
a każdy z nich miał po Śwedach kunia.”



Drużbowie:
„Ale i druchny, kiej Warsiawianki,
tylko, że mają piękniejsze wianki!”

Raj:
„Niechajże będzie koniec zabawy —
wynoście stoły, wynoście ławy.”

Drużbowie usuwają stoły, ławy,
i przekomarzają się druchnom:

„Syta druchna, syta,
zjadła zasiek zyta!
pięcioro kokosy,
pieceń za sto grosy!”

Druchny odśpiewują:

„Niech druzba nie kokosi się.
Wleź za piec, a wyśpij się.”

Po tańcach gospodynie sadzają Młodą na środku izby i zdejmują jej wianek z głowy. Swacha śpiewa:

„Juści wieczór nadchodzi,
Marysi wianek schodzi.

Pomaleńku zdejmajcie,
głoweńki nie targajcie.”

Druchny:

„Mój wianecku ruciany,
komuś ty obiecany?
Któż się tutaj znajduje,
mój wianecek kupuje?”

Pan Młody:

„Konie, woły, utracę,
a twój wianek zapłacę!”

Gospodynie kładą na głowę Młodej czepek z okrzykiem:

— Ho, nasa!..

Śpiewają:

„Pójdźcie, druchny, swoją drogą,
zgubiłyście pannę młodą.

Idźcie, druchny, wilczą ścieżką,
już nie będziecie z dziewecką...”

Powoli goście się rozchodzą. Wesele jest skończone.

A. Maryńska

DO OSTATKA

Cały ród Nakrutów od dawien dawna w puszczy i z puszczy żył, jak na szczerych Kurpiów przystało. Więcej się oni z rusznicą, niż z sochą znali, ale biedy nie cierpieli i chwalili sobie takie myśliwskie, wolne życie.

Pietrek Nakrut także nie odrodził się od ojców: oko miał celne, ciało gibkie, a serce tak odważne, że nie strachał się, choćby sam „Pan Miś” szedł na niego.

Toteż kiedy ludzie z Myszyńca przynieśli wieść, że nasi z Moskalami wojnę toczą — aż zagrało wszystko w Pietrku. Rusznicę wyczyścił, prochu i chleba do worka wziął i przed ojcem stanął.

— Tato! — powiedział. — Pójdę i ja.

— Gdzież to chcesz iść? — zdziwił się niby stary.

— No, przecie na wojnę z Moskałem.

Ojciec pociągnął nosem, ale zaraz chrząknął głośno i wyprostował się:

— No, jak już na to przyszło, żeby iść — to idź! — powiedział.

— Dziękuję wam, tato! — ucieszył się chłopak.

— Tylko jedno se uważ, Pietrek! —

zatrzymał go jeszcze ojciec — wstydu Kurpsiom nie zrób. Pamiętaj, że nasze ojce Szweda sprawy, choć panowie dać mu rady nie mogli. Jak już idziesz — to honoru kurpsiońskiego musisz pilnować: choćby wszyscy koło ciebie uciekali, albo na niewolnika się oddawali — ty masz się trzymać do ostatka. Tak se zapamiętaj: do ostatka!

— No! — przytwierdził mocno Pietrek.

I poszedł.

Naprzód był w bataljonie „strzelców celnych”, jako że oko miał niechybne, ale od bitwy pod Ostrołęką do artylerji się przeniósł. Bo też zachwyć się można było tą bronią, widząc jak pan podpułkownik Bem z całą baterją podjechał galopem na 200 kroków do mostu zajętego przez Moskali i kartaczami wprost w tłum walić począł. Stracił coprawda wszystkich prawie kanonierów, ale zaraz ochotników zgłosiło mu się dwa razy więcej, niż potrzebował. Między tymi ochotnikami był i Pietrek, a że poduczył się wmg służby, na celowniczego pan Bem go wyznaczył.



WNĘTRZE CHATY KURPIOWSKIEJ

Od Ostrołęki coraz gorzej naszym dział się poczęło, aż wreszcie przyszła ta ostatnia, najstraszniejsza bitwa: o Warszawę.

Pan Bem objął dowództwo nad fortyfikacjami pierwszej linii i całą rezerwą artylerji, a kanonier Piotr Nakrut został wyznaczony do jednej z redut broniących Woli. Reduta ta — niewielka zresztą — miała numer 54 i była broniona zaledwie przez sześć dział i dwie kompanje strzelców, pośrodku zaś miała schron podziemny z zapasem prochu i amunicji. Mimo słabych szanńczyków i tak niewielkich sił, obrońcy nie tracili ducha. Toteż kiedy pułkownik Bem w dniu 5-go września objeżdżał forty i spytał ich: „No, chłopcy, nie dacie się?” — odpowiedzieli chórem:

— Nie damy się, panie pułkowniku!

A jakiś pojedynczy głos huknął:

— Do ostatka!

Dnia 6-go września wstał mglisty świt i chłód dobrze przejmować począł niewyspanych obrońców Reduty nr. 54.

Ale zaraz zrobiło się goręcej: 92 działa korpusów Pahlena i Kreutza sypnęły na reduty Woli gradem kul pół-pudowych. Potem armat coraz więcej przybywało, a wszystkie zbliżały się stopniowo tak, że wkońcu było ich już 170, a prażyły na odległość zaledwie 400 kroków.

Polscy kanonierzy, spoceni i czarni od prochu, uwijali się, aż im ręce mdlały, ale cóż znaczyły ich siły wobec takiej ulewy żelaza? Głosu ich armat nie było prawie słyhać wśród ryku artylerji rosyjskiej.

Po dwugodzinnej kanonadzie ruszyły do szturmdu dwie kolumny z korpusu Kreutza, w sile około 20 bataljonów, na reduty Woli. Soldaci rosyjscy, upici wódką i rozzuchwaleni swoją liczbą, toczyli się, jak czarna lawina na słabe szanńczyki polskie.

Redutę nr. 55, pozbawioną już zupełnie obrońców, zagarnęli bez strzału i runęli na redutę nr. 54, gdzie zostało zaledwie kilkunastu strzelców i kanonierów pod wodzą poruczników Nowo-



KURPIANKI

sielskiego i Ordon. Rosyjskie pociski rozbiły im już pięć dział, a wreszcie i ostatnie, przy którym walczył Pietrek, pękło pod uderzeniem granatu.

— Nakrut, uciekajma! — zawołał płaczliwie Bubicz, towarzysz pułkowy Pietrka. — Wyduszą nas tu, jak szczury!.. Pono już generałowie i inne pany na Pragę uciekają!..

— Do ostatka! — zasyczał przez zaciśnięte zęby Pietrek.

— Że co? — nie zrozumiał Bubicz.

— Do ostatka! — powtórzył Pietrek, oglądając się za jakim karabinem.

— Ognia! Ognia! — wołali porucznicy do tych kilku żołnierzy, którzy mieli jeszcze karabiny i ładunki.

Ale za słaba była to obrona: masy rosyjskie z przeciągłym krzykiem „ura!” wdzierały się już na redutę i zalewały ją, jak chmura robactwa...

W tym momencie wydało się Pietrkowi, że w mgłach i dymach dostrzeżną mocną i spokojną twarz swego ojca, który mówi mu:

— Tylko to se uważ, Pietrek: do ostatka! Honoru bronić musisz!

— No! — kiwnął mu głową Pietrek, chwycił za tlejący lont i skoczył do schronu, gdzie leżały prochy.

I naraz wśród czarnego dymu, zalegającego pole bitwy, błysnęło wielkie światło, jakby olbrzymia błyskawica przecięła niebo. A zaraz potem rozległ się huk tak potężny, że zagłuszył wszystkie krzyki, szczęki, a nawet strzały armatnie. Ziemia wstrząsnęła się pod stopami, a w oczy wionął kurz i ogień. Obydwa wojska stanęły, jak wryte i spojrzały z przerażeniem. A to z Reduty nr. 54 trysnął słup ziemi, szczątków broni i ludzkich ciał. Kiedy zaś opadł ten olbrzymi tuman — na miejscu Reduty nr. 54 nie było już ani jednego Moskala. Ale nie było też ani jednego obrońcy: wszyscy znaleźli się w jednym grobie.

Tak zginął kanonier Nakrut, broniący honoru do ostatka.

J. Ostrowski





— Ej, Kurpiku, ej, Kurpiku!
Na co strzelbę masz?

— Abym bronił mej ojczyzny,
kiedy przyjdzie czas.

— Jakże bronić będziesz kraju,
gdy siedzisz wśród drzew?

— Ej, niejeden Kurp już oddał
za Ojczyznę krew.

Poprzez puszcze, poprzez bory
niejeden szedł wróg,
a gęstwiną niósł się tylko
łomot, grzmot i stuk.

A my zaraz, hej! za strzelby!
do zasadzki wraz!
W szarej kurcie szary Kurpik
wygląda jak głaz.

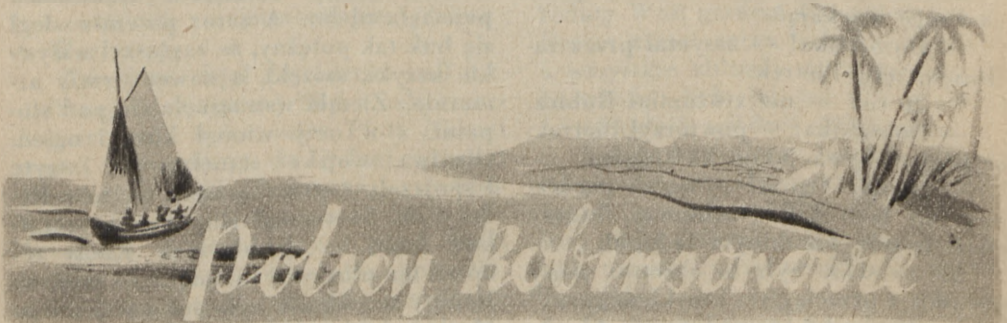
Ho — zapada wróg w głąb puszczy,
a tu nagle: — Stój!
zza pni drzewnych, od wykrotów
leci kulek rój!

Hej! nie damy naszej puszczy
obcemu do rąk,
bronić będziem chat i pola,
i tych naszych łąk!

— Ej, Kurpiku, ej, Kurpiku,
z kim walczyłeś już?
czyś już bronił życiem swoim
tych lesistych głusz?

— Ech, mój panie, miły panie,
ty historję znaj,
z niej się dowiesz: ponad życie
Kurp miłuje kraj!

St. Kossuthówna



Wówczas Mnong uderzył się w alu-
minjowe denko menażki, wiszące mu
na piersiach i zawołał:

— Ja, Mnong, który jestem cza-
rownikiem i który noszę Wielkie
Słońce białych tuanów na piersiach,
tak mówię do wojowników: zapal-
cie pochodnie i chodźcie szukać

dwóch białych tuanów, którzy są
w lesie.

Thum ciemnych postaci poruszył
się, zbliżył do gasnącego już prawie
ogniska i zaczął podsycać płomień.

Tu i owdzie zaczęły migotać ognie
pochodni i za chwilę sznur ogniasty
ruszył w las.

Mnong, Mietek i Julek szli w środku szeregu, obok siebie.

W pewnej chwili Mnong szepnął:
— Ogień!

Chłopcy nie dojrzel, ale ufając bystremu wzrokowi czarodzieja, ruszyli za nim, wysunawszy się daleko przed szereg.

Nagle zarośla rozsunały się przed nimi i wszyscy trzej znaleźli się na małej polance. I tu ukazał się ich oczom widok zarazem / straszny i śmieszny.

O kilkanaście kroków od nich błyszczał wygięty grzbiet czarnej pantery, gotowej do skoku, a naprzeciwko niej, skakał z gasnącą pochodnią w ręku Wacek, zasłaniając sobą skurczonego „Breloczka”. Wacek machał pochodnią i śpiewał coś zapamiętałe, krzyczał, wołał, a głos miał zupełnie ochrypły.

Koło Mietka, Julka i Mnonga zaczęli się szybko gromadzić ludzie z pochodniami i wszyscy razem ruszyli na środek polanki.

Widać było wyraźnie, jak skośne oczy pantery mrużyły się od światła, a uszy tuliły wtył. Naraz rozległo się wściekle prychnięcie i pantera znikła, jakby rozpuściła się w ciemnościach nocy.

Wtedy dopiero Wacek zachwiał się i byłby upadł, gdyby go nie podtrzymano z dwóch stron.

W drodze Wacek opowiedział ochrypłym głosem, co zaszło. Staś siedział długo z dziećmi w pustej chacie i robił jakieś tajemnicze rzeczy, a potem poszedł zerwać kilka liści palmowych (niewiadomo po co?) i zabłądził. Wacek go odnalazł, ale w powrotnej drodze, natknęli się na panterę, pochodnia zaczęła im gasnąć, no i...

Tajemnicze prace Stasia wydały się niedługo.

Pewnego dnia Wacek zarządził nową wyprawę na węże i zebrawszy spory oddział, ruszył w las.

Po dłuższej chwili tego pochodu, na prawem skrzydle rozległ się krzyk, potem odgłos uderzeń i za chwilę do Wacka podbiegł jeden z malajów, niosąc sporego węża.

— Omu zabił! Omu ma już dziecięć węzów! — wołał.

Omu wrócił na swoje miejsce i oddział ruszył dalej. Naraz coś mignęło w trawie i w tej samej chwili rozległ się straszny krzyk Wacka:

— Oj!

Otaczający rzucili się ku niemu na pomoc. Mietek z całej siły uderzył w poruszającą się trawę i wyciągnął stamtąd sporego węża. Tymczasem jednak Wacek wił się na ziemi, wołając:

— O, Boże! Jak to pali! Ratujcie! Co robić?

Zarówno malajowie jak Mietek stali bezradnie, nie ruszając się z miejsca. Naraz Staś-Breloczek rozepchnął zebranych i rzuciwszy się na kolana przyłożył usta do nogi Wacka.

— Breloczek, co ty?... — zawołał Wacek, ale w tej samej chwili umilkł i łzy stanęły mu w oczach.

Mietek także zrozumiał postępek Stasia i powiedział tylko:

— Czy nie masz w ustach jakiej ranki?

Staś poruszył głową przecząco issał dalej ranę, wypływając od czasu do czasu ślinę.

Po chwili przystąpił do Mietka jeden z chłopców malajskich i powiedział:

— Ja zastąpię białego tuana!

— Nie boisz się? — spytał zdziwiony Mietek.

— Nie, nie boję się. Tak kazał rościć Chrystus.

Mietek nie dowierzał własnym uszom: skąd ten malajski chłopak wie o Chrystusie i o jego przykazaniach?

Ale za chwilę miał się zdziwić jeszcze bardziej.

Kiedy chłopiec zastąpił Stasia przy Wacku, Staś zwrócił się do drugiego i powiedział:

— Biegnij szybko do tuana, który jest w domu i poproś, żeby ci dał jodyny. „Jo-dy-ny” — będziesz pamiętał?

Chłopak wyszczerzył białe zęby:

— Na wszelki wypadek zapiszę sobie! — powiedział.

Wziął kawałek liścia palmowego i ostrym patykiem wypisał na nim słowo: „jodyna”. Poczem puścił się pędem w stronę wsi.

W niedługim czasie zjawił się chłopiec z butelką jodyny, a za nim nadbiegł Julek.

Opowiedziano mu w kilku słowach co zaszło i zabrano się do dalszego ratunku.

Na drugi już dzień Wacek czuł się znacznie lepiej: siność i opuchlina zaczęły mu z nogi ustępować, a pod wieczór wrócił nawet humor.

— Ach, więc to tak? — mówił do Breloczka. — To ty zakładasz na Matamarze uniwersytety i inne gimnazja, a my nic nie wiemy! Teraz już rozumiem poco mu były liście palmowe: on robił sobie z nich kajety!

Mietek wyciągnął poważnie rękę do Breloczka:

— Brawo! — powiedział. — Jest to zdaje się najlepsza praca, jaką zrobiliśmy na Matamarze.

— Brawo, Breloczek! — zawołał chórem Wygwizdów.

ROZDZIAŁ VIII

w którym się okazuje, że koniec wieńczy dzieło.

Z bawełny i włókien roślinnych otrzymano kilka dużych płacht, które złożono z szacunkiem w alun-alunie.

— Cóż my z nich zrobimy? — zagadnął któregoś dnia Julek.

— Zobaczycie — odpowiedział jak zwykle Mietek — tymczasem musimy się dowiedzieć czego chce Mnong, który tu idzie z jakimś chłopcem.

Kiedy Mnong podszedł bliżej, chłopcy wstali na jego przywitanie, poczem wszyscy usiedli wkoło.

Mnong zaczął:

— Mój syn, Lagnang, nauczył Mnonga wiary białych tuanów. To jest bardzo dobra wiara: jest jeden Bóg w niebie, którego nie widzimy, ale który mówi w nas cichym głosem co złe i co dobre. Ten Bóg każe kochać wszystkich i dobrze im robić. To jest bardzo dobra wiara i Mnong też chce być chrześcijaninem.

— Bardzo się cieszę — powiedział Mietek — bo kiedy my wyjedziemy, Mnong będzie dalej prowadził to, co zaczęliśmy.

— A czyż biali tuanowie chcą nas opuścić? — zawołał Mnong.

— Tak, i to niedługo — powiedział Mietek.

— Jakto?... — zaczął zdziwiony Julek, ale natychmiast urwał.

A Mietek mówił dalej:

— Mnong zostanie wodzem wyspy po naszym wyjeździe, a my tu przyślemy innych białych tuanów, naszych braci, którzy pomogą Mnongo-

wi w rządzeniu i dużo mądrych rzeczy zrobią na Matamarze. A tymczasem oddamy Mnongowi wszystkie nasze skarby, żeby mu było łatwiej rządzić wyspą.

Mnong siedział długo, zupełnie oszołomiony, a potem zebrał ofiarowane mu rzeczy i ruszył powoli do siebie.

Tymczasem chłopcy zasypali Mietka pytaniami:

— Myślisz, że nam uda się wyjechać? Ale skąd weźmiemy dużej łodzi? Oni tu mają tylko bardzo małeńkie.

Mietek uśmiechnął się tajemniczo i powiedział:

— Chodźcie ze mną!

Ruszyli wszyscy w kierunku przystani i kiedy doszli nad morze, Mietek rozchylił gałęzie nadbrzeżnych drzew.

U brzegu była uwiązana wielka łódź z bawolej skóry, obciągniętej na wygiętych gałęziach. Z tyłu był umocowany silny ster, a na brzegu leżały dwie pary wiosel i duży drążek owinięty tkaniną.

Dziwne uczucia opanowały chłopców: żal porzucenia Matamary, myśl o nowych przygodach, tęsknota za krajem i rodziną i radość powrotu.

Wszyscy szli w milczeniu.

Wreszcie Julek nie wytrzymał i zagadnął Mietka:

— Skąd się to wszystko wzięło?

Mietek uśmiechnął się:

— Cóż? Musiałem przecież czernąć się popisać. A może robić niespodzianki Breloczek — mogę i ja. Zresztą pomagało mi kilku dzielnych wyspiarzy.

— Tak — bąknął Wacek — tylko czy my tą łodzią dopłyniemy do Europy?

— Ponieważ jesteśmy w archipelagu, gdzie wyspy nie są od siebie zbyt oddalone — będziemy jechać od wyspy do wyspy, aż natrafimy na europejczyków, którzy nam pomogą dostać się do okrętu. A tymczasem...

— Tymczasem co?

— Tymczasem musimy jeszcze oddać całą władzę ludności wyspy.

— Przecież już oddałeś władzę Mnongowi?

— Ba! Mnong jest jakby prezydentem, a potrzebny jeszcze Sejm.

— A... a poco? — nieśmiało spytał Staś.

— Poco? A no, jak to powiadają — co dwie głowy to nie jedna. Sejm będzie dawał rady Mnongowi, a w razie jego choroby lub śmierci, postanowi kto ma rządzić. Także w wypadku gdyby Mnong chciał zrobić coś złego — Sejm na to nie pozwoli.

To samo powtórzył Mietek zwołanemu przez Mnonga ludowi, poczem zarządził wybory.

Potem Mietek miał znowu przemowę, którą zakończył w ten sposób:

— Przyjadą tu do was nasi bracia. Poznacie ich po tem, że będą mieć chorągiew czerwono-białą. A gdyby przyjechali inni biali tuanowie, pokażcie im nasz sztandar na górze i powiedzcie, że u was byli tuanowie z Polski. Pamiętajcie: Polska!

Po przemowie Mietka wystąpił Mnong i powiedział:

— Biali tuanowie byli dobrzy dla Mnonga i wszystkich na Matamarze. Biali tuanowie zrobili nam dobre studnie, dali czarodziejski Brązowy Kamyk, Gryzący Sok na rany, wytępilli dużo węzów, pokazali jak robić nici i tkaniny, zrobili drogę od wsi do morza, nauczyli nas rysować głos na liściach i na ziemi i powiedzieli

nam o prawdziwym Bogu. Teraz jesteśmy zdrowsi, bezpieczniejsi i szczęśliwsi, a to wszystko przez białych tuanów. Dlatego Mnong i cała Matamara prosi białych tuanów, żeby wrócili do nas jeszcze.

— Dobrze, wrócimy — powiedział Mietek trochę drżącym głosem. — Tylko musimy jeszcze dużo się nauczyć.

Mnong wysunął przed siebie swojego syna i powiedział:

— Stary Mnong ma wielką prośbę do białych tuanów. Niech zabiorą ze sobą mojego syna, Lagnanga. Mnong już jest stary i dużo się nie nauczy, ale jego syn, Lagnang będzie się uczył z białymi tuanami i wróci bardzo mądry na Matamarę. A wte-

dy będzie mógł bardzo dużo dobrego zrobić swoim braciom.

Mietek skinął ręką:

— Dobrze, bierzemy go! — powiedział.

Potem cały pochód ruszył w kierunku morza.

Piątka młodych podróżników zajęła miejsca, a pod ławkami umieszczono kosze z owocami i suszonym mięsem bawołów.

Mietek uściśnął po europejsku dłoń starego Mnonga, co też zrobili wszyscy chłopcy. Potem Mnong uściśnął jeszcze swego syna i cofnął się.

— W imię Boże, naprzód! — zawołał Mietek.

(d. n.)

Jerzy Ostrowski



Halio, mili słuchacze! Po wywczasach świątecznych Radjo wita Was serdecznie i śpieszy donieść, jakie audycje przygotowało na bieżący tydzień.

Więc we wtorek, 21 stycznia, o godz. 12 min. 15 p. Kazimierz Konarski opowie młodszym dzieciom prześliczną legendę o malutkim ptaszku. Opowiadanie ma tytuł: „Legenda o mysikróliku”

We środę, 22 stycznia, od godz. 16.00 do godz. 16 min. 20 rozgłośnia Poznańska nada audycję z cyklu: „Wędrowki dokoła globu” pod tytułem: „Nad mapą Hiszpanji”.

We czwartek, 23 stycznia, od godz. 16.00 do godz. 16 min. 15 mali przyjaciele Starego Pana Doktora usłyszą jego wesołe opowiadanie pod tyt.: „Zabawa w okręt”.

W piątek, 24 stycznia, od godz. 12 min. 15 do godz. 12 min. 40, możecie odbyć wędrowkę po ziemi kurpiowskiej, jeżeli posłuchacie audycji p. t.: „Przeleciał ptoszek przez ciemny las”. W tej

radjowej wycieczce będą towarzyszyć Wam śliczne piosenki kurpiowskie, tańce i muzyka.

I tego samego dnia od godz. 16 min. 45 do godz. 17.00 „Chwilka pytań” udzieli Wam ciekawych wiadomości.

W sobotę, 25 stycznia, od godz. 16 min. 15 do godz. 16 min. 45 będzie wesołe słuchowisko z Krakowa p. t.: „Brawo, mamy gości”, w wykonaniu zespołu uczniów szkoły nr. 4 im. św. Jana Kantego w Krakowie. Goście, to koledzy ze Lwowa, którzy przyjechali zwiedzić Sowińiec. Jeśli chcecie wiedzieć, jak przyjmują ich Krakowiaczy, posłuchajcie.

W niedzielę, 26 stycznia, od godz. 16.00 do godz. 16 min. 15 opowiadanie p. Benedykta Hertza p. t.: „Samowar znowu się odzywa”. Będą to wesołe wspomnienia z lat szkolnych autora.

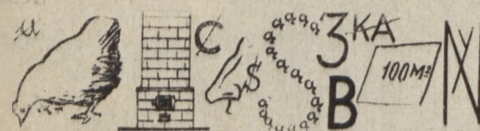
I w poniedziałek, 27 stycznia, od godz. 18 min. 30 do godz. 18 min. 40 Mamusia radjowa, p. Wanda Tatarkiewicz omówi listy od dzieci.

NIE KAŻDY SNADNIE TO ODGADNIE

REBUS 1



REBUS 2



ZAGADKA 1

Olaboga!
Co za droga!
Ni po niej w dzień kroczyć,
ni po niej iść w nocy.
We dnie wcale jej nie widać,
w nocy na nie się nie przyda.

ZAGADKA 2

Mam do roboty
i do pomocy
miech i kowadło,
cegi i młoty.

ZAGADKA 3

Czy na mieliźnie,
czy na głębinie,
wóz sobie jedzie,
łódź nie przepłynie.

ZAGADKA 4

Mówi drzewo do sąsiada,
który liści nie posiada:
„Ze mnie, kumo, wiecie —
lecą liście w lecie.
Jeden zleci, rośnie drugi,
zielenię się, jak rok długi”.
Drugie drzewo nato:
„Kocham cię, jak siostrę,
ale liście nawet latem
trochę masz za ostre”.

CZEM SIĘ ZAJMUJĄ?

PAN I. SZECKI

E. ŚLICZNY

LUCYNA EJCZAK

SZARADA

Pierwsza — z trzech liter wysnuta,
oznacza poprostu koguta.
Druga — oznacza domowe zwierzę,
(z niej się trzy pierwsze litery bierze).
A całość — sławne mazurskie plemię,
co pośród lasów uprawia ziemię.

ROZWIĄZANIA Z N-RU 18:

Rebus: na czarnej głowie murzyna
czarna, wełnista czupryna. Zagadki:
1 — pustynia, 2 — krokodyl, 3 — ze-
bra, 4 — struś, 5 — Kilimandżaro.
Szarady: 1 — Tana, 2 — karawana.

WARUNKI PRENUMERATY:

W prenumeracie pojedynczej:		W prenumeracie zbiorowej (od 10 egz. wzwyż)	
miesięcznie	zł. 1.10	miesięcznie	zł. —.84
półrocznie	„ 5.—	półrocznie	„ 4.—
rocznie	„ 10.—	rocznie	„ 8.—

POJEDYNCZY NUMER „PŁOMYKA” KOSZTUJE 30 gr.

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: WARSZAWA, UL. SMULIKOWSKIEGO 1.
(wejście od ul. Dobrej Nr. 6). Nr. telefonu administracji 2.69-49, redakcji — 6.30-28.

Konto czekowe P. K. O.: „Związek Nauczycielstwa Polskiego — Zarząd Główny —
Warszawa” — Numer konta 435.

PRENUMERATORÓW WARSZAWSKICH OBSŁUGUJE BIURO ADMINISTRACJI PRZY
ULICY ŚWIĘTOKRZYSKIEJ 18, TEL. 5.22-18. BIURO CZYNNE OD G. 9-ej DO 7-ej W.

Redaktorzy: M. KOTARBIŃSKI i ST. MACHOWSKI. Kierownik artystyczny — K. PIENIAŻEK
Wydawca w imieniu Związku Nauczycielstwa Polskiego: — STANISŁAW MACHOWSKI.

Druk. Rotograw. „Nowoczesnej Spółki Wydawniczej, S. A.”, Warszawa

